



# ŚLAWOMIR LUCZAK

# ŚIRIT

## aga JANCZARÓW

Opowieść o szlepcu, który nie mógł zostać  
polskim rycerzem.  
Dlatego został tureckim generałem.

*Tom 2*

# ZABIJ MNIE NIM PRZYJDĄ



Sławomir Łuczak

Ferit:  
ągą jączarów

Tóm ij

Zábij mnie, nim przyjdą



© Copyright by

Sławomir Łuczak & e-bookowo

Na okładce wykorzystano obraz Stanisława Chlebowskiego

„Śmierć Władysława Jagiellończyka pod Warną”.

Projekt okładki: Sławomir Łuczak

Korekta: Marta Dąbrowska

ISBN e-book 978-83-7859-886-2

ISBN druk 978-83-7859-901-2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)

Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2018



*4 czerwca 1453, Stambul*

Wieczór zapada powoli, pozwalając zachodzącemu słońcu mienić się kojącą duszę barwą w błękitnych wodach Złotego Rogu. Kto miał zginąć, przepadł. Kto w mękach z powodu ran odniesionych w boju dotrwać miał kolejnego świtu, żył, choć w przejmującym bólu domagał się końca. Ten zaś, który nie spodziewał się śmierci i pragnął posmakować starości, nieoczekiwanie umierał i nikt nie potrafił tego zmienić. Widziałem śmierć wiele razy i sam również niejednokrotnie byłem jej posłańcem, jednak nie zawsze sprawiało mi to ulgę czy radość. Bitewne pola, na jakich stawałem pod zielonym sztandarem Proroka, pokój z nim: tonące we krwi, okrucieństwie i braku litości, stanowiły najbardziej jaskrawe oblicze umierania. Prym wiodło tam zorganizowane pozbawianie życia w jakim człowiek udoskonalał się przez wieki, aby dziś udowodniać swoje racje przy pomocy rusznic, hakownic, bombard czy arkebuzów do jakich osobiście mam niezbyt przychylny stosunek, gdyż śmierć zadawana z ich udziałem ma w sobie coś nieeleganckiego. Nie jest tak piękna jak celny sztych oswabadzający krew z ciała oponenta, za którą ku wieczności ulatuje jego nieśmiertelna dusza. Jak ostrze kindżału rozdzierające żywotne arterie. Jak grot strzały niszczący tkanki i sprawiający ból, za którym pośpiesznie drepcze ta, co odbiera wszystkie nadzieje i troski.

Choć znam janczarów korzystających z arkebuzów i chełpiących się ich możliwościami, wiem, że nie zamieniłbym łuku na broń palną mogącą razić wroga na dystansie nawet stu metrów. Nie tylko dlatego, że widziałem, jak przedmiot dumy jego posiadaczy zawodził ze skutkiem śmiertelnym podczas oblężenia miasta zwanego jeszcze kilka dni temu przez bizantyjskich Greków i resztę cywilizowanego świata Konstantynopolem. Powód jest inny. Ja i łuk to jedność, a ta jest niepodzielna. Słyszałem, że mógłbym używać naprzemiennie to arkebuza, to łuku, jednak nigdy nie skonfrontowałem tej rady z rzeczywistością. Konserwatywnie napinałem cięciwę i wykazując się morderczą skutecznością potwierdzałem fakt, że janczarzy stanowią siłę, jaka nie powinna być lekceważona przez żadną armię. I tak w istocie się działo.

Wybudzony z krótkiej drzemki, jakiej oddałem się wspominając przeszłą młodość, dostrzegam, że w moją stronę zmierza rosłej postury mężczyzna w pięknie zdobionym złotymi nićmi czerwonym kaftanie, okazałym, białym turbanie oraz żółtych butach wykonanych z najlepszej skóry, jaką można znaleźć w całym cywilizowanym świecie, bowiem o jego dzikich obszarach wciąż niewielką posiadam wiedzę. Po jego bokach dumnie kroczą wyprostowani janczarzy z dłońmi spoczywającymi na głowicach szabli nasyconych krwią niewiernych Greków, Genueńczyków, Wenecjan i wszystkich tych, którzy broniąc niezdobytych do tej pory przez Osmanów murów wierzyli, że na widok wojsk sułtana wkraczających do miasta anioł zstąpi

z Kolumny Konstantyna Wielkiego i przekazując miecz wraz z cesarską władzą bezmiennemu bohaterowi, ocali miasto oraz każdą żywą istotę chroniącą się w jego obrębie.

Po chwili staje przede mną lala Mehmeda Zdobywcy, wielki wezyr i aga janczarów Zaganos Pasza, który wielce przysłużył się w upadku Konstantynopola, dzięki czemu na jego murach triumfalnie mogły załopotać zielone sztandary Proroka, pokój z nim. Jest Zaganos albańskim brańcem wcielonym w wieku dziewięciu lat do adżemi olan, szkoły janczarów. Ukończył ją z najlepszymi wynikami zwracając uwagę wielkich wezyrów Kocy Nizamuddina Paszy oraz Çandarli Ibrahima Paszy, a tym samym sułtana Murada, niech pamięć o nim nigdy nie przeminie w sercach wyznawców prawdziwej wiary.

– Słyszałem, Fericie, żeś wbrew zaleceniom hakima Kutaya zaczął snuć opowieść o swoim życiu, a Besim zamienia ją na piękne słowa, w czym jest ponoć wielkim mistrzem – wskazuje wielki wezyr na pisarza siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na dywanie zaślany bogato zdobionymi poduszkami.

Kłania się nisko przywołany, dodając, że choć wyrażona opinia miła jest jego sercu, tak piękno, także to zawarte w słowach, różnie w życiu bywa pojmowane i co dla jednych jest pięknem, dla innych tylko i wyłącznie gnojem, o czym on, Besim, wie bardzo dobrze, choć prawda ta nie zawsze bywa miła jego sercu.

– Prawdę rzekłeś, Zaganosie – mówię z uśmiechem. – Co z tego wyjdzie nie wiem, bom dopiero zaczął, jeśli jednak Allah

zachce, rzecz doprowadzę do końca, gdyż tak nakazuje dobry zwyczaj, choć hakim Kutay inne ma w tej materii zdanie.

– Sam sułtan stosuje tą metodę z wielkim powodzeniem, o czym poświadczyć mógłby wielki wezyr, gdyby jego głowa pozostała na swoim miejscu. – Zaganos Pasza uśmiecha się szeroko, choć nie wiem czy dzieje się tak z powodu niedawnej egzekucji Halily Paszy, który do historii przeszedł, jako pierwszy osmański minister zgładzony z woli i z rozkazu sułtana, czy też może dlatego, że przebiegły polityczny gracz, jakim Zaganos Pasza bez wysiłku bywa, wiedział od dawna o zamysłach podopiecznego. Stał przecież u jego boku, jako lala od najmłodszych lat częściej objaśniając mu tajniki życia niż rodzony ojciec, sułtan Murad, niech gwiazda jego imienia rozświetla poczynania syna. Musiał zatem wiedzieć znacznie więcej o tym – co i tak nie było tajemnicą – że Mehmed od wielu lat darzył Halila Paszę głęboko przemyślaną niechęcią i czekał cierpliwie chwili, kiedy będzie mógł przypomnieć nielubianemu politykowi, gdzie tak naprawdę powinno znajdować się jego miejsce. Okazało się, że w grobie, o jakim wielki wezyr z potężnego i wpływowego rodu Çandarlich zdawał się wcale nie rozważać, a przynajmniej takie odnieść można było wrażenie przyglądając się jego dumnej sylwetce. Niestety, w życiu często bywa tak, że w pewnych kwestiach myślą za nas inni i dlatego Halil Pasza dał gardło i pożegnał się z życiem, choć z pewnością nie miał tego w planach.

Wielce ukontentowany musiał być sułtan Mehmed ze swojej decyzji. Dojrzewała w jego sercu przez kilkanaście lat, aby osta-



tecznie objawić się pamiętnego majowego dnia, kiedy Władca Wiernych zwołał swoich dowódców wojskowych i wezyrów, aby wspólnie z nimi ustalić dalszą strategię działań wobec hardych murów Konstantynopola nie chcących runąć nawet po blisko dwumiesięcznym, bezlitosnym oblężeniu. Byłem i ja na tym spotkaniu, o czym opowiem w chwili, którą Allah Mądry i Łaskawy objawi mi, jako najwłaściwszą...

Póki co, zanim przeniosę się myślami do Edirne roku tysiąc czterysta czterdziestego czwartego, gdzie rozpocząłem służbę oda baszy janczarów, słucham jednym uchem słów Zaganosa Paszy. Z budzącą podziw zręcznością kłamię, że i jego zdziwiła decyzja sułtana wynosząca go na godność wielkiego wezyra. Jego, Zaganosa Paszę, niewolnika nie będącego rodowitym Turkiem. Po raz pierwszy w historii Osmanów. Nikogo jednak nie dziwi, że najważniejsze stanowisko w państwie po Halil Paszy przejął nie kto inny, tylko wychowawca i mentor Władcy Wiernych. Inaczej bowiem być nie mogło. Drugim wezyrem zaś został Grek, Veli Mehmed Pasza, wielce wprawiony w boju aga janczarów urodzony w tysiąc czterysta dwudziestym roku w znanej bizantyjskiej rodzinie Filantropenosów, siedem zaś lat później uprowadzony przez Osmanów z Serbii, gdzie przeniósł się wraz z rodziną z Tesalii.

– Nie myśl, Fericie, że nominacja Veli Mehmeda Paszy na wezyra robi na mnie jakiegokolwiek wrażenie – kłamię dalej Zaganos Pasza sprowadzając rozmowę na tor najbardziej go interesujący. – Dzięki swojemu stanowisku przysłużyć się on będzie mógł sprawie islamu...

Nikomu nie dziwne, że Zaganos Pasza – wiedzą o tym już nawet mewy i rybitwy szukające pożywienia w toni Złotego Rogu – na widok Veli Mehmeda Paszy sięga odruchowo po kindżał, serce napędzane zazdrością i wściekłością bić zaczyna szybciej, a w umyśle i duszy rodzą się niezdrowe myśli, jakże nieobce sprawom państwowym najwyższego szczebla, na jakich mało się wyznają i wyznawać się nie chcą. Jak to? Dlaczego? Takie pytania zadawać musi serce Zaganosa Paszy. Dlaczego sułtan Mehmed zrobił mi to – mnie, którym służył mu radą i pomocą od chwili, gdy wypowiedział poprawnie pierwsze zdanie – i powierzył tytuł wezyra mojemu wrogowi od dawna podkopującego mój autorytet wśród janczarów?

Prawdopodobnie nikt prócz Mehmeda nie potrafiłby odpowiedzieć na to pytanie, jednak jeśli miałbym spekulować, rzekłbym: stało się to dlatego, że padyszach mimo młodego wieku poznał już wiele tajemnic ludzkich serc i wie, że w państwie Osmanów nie może istnieć jedna osoba posiadająca zbyt wiele do powiedzenia. Dlatego właśnie istnieje urząd drugiego i trzeciego wezyra, a ich zadaniem jest przyglądać się pracy wielkiego wezyra i w razie konieczności – jak było to w wypadku straconego Halil Paszy – podjąć odpowiednie działania, o jakich nigdy nie mówi się głośno.

O kłësce Halila Paszy z możnego rodu Çandarlich opowiem we właściwym czasie, na razie jednak spieszę się przenieść do dnia, kiedy obolały powitał nowy dzień i wielbiąc imię Jedynego Boga pojąłem, że to, o czym marzyłem, dokonało się, a ja



mogłem rzec: oto jestem janczarem sułtana Mehmeda.

– Ta sprawa z Cyrylem miała swój finał niedaleko stąd? – pada nieoczekiwane pytanie. Przygląda mi się z uwagą Zaganos Pasza, wiedząc, że dźwięk tego imienia zmienia mnie w bestię, bądź sprawia, że obojętnieję na cały świat i nie myślę o niczym innym, jak o śmierci. Wie o tym wszystkim wielki wezyr, dlatego pyta. I patrzy. I uśmiecha się ledwie dostrzegalnie. Pragnie bym widział, że ma nade mną przewagę. Że stanął na czele dywanu, aby mieć ją nad wszystkimi.

Cyryl. Na dźwięk tego imieniu serce z żalu chce wyskoczyć mi z piersi, a w głowie dudni hałas znacznie donośniejszy od tego, jakie w wyznaczonej przez Allaha chwili wydawały bombardy puszkarza Urbano mierzące się z murami stolicy Bizancjum, aby we właściwym momencie przekroczyć je mógł sułtan Mehmed nazywany przez moich janczarów Zdobywcą.

Próbuję zapomnieć o tym imieniu patrząc to na Besima spisującego moje słowa, to na oficerów janczarów strzegących mojego spokoju, to na noc litościwą zasloną okrywającą poranione oblężeniem miasto, gdzie rozpocząć się ma nowa era w dziejach Imperium Osmanów. Jednak im silniej próbuję zapomnieć, tym mocniej przeszłość wyrażana w tej chwili przez jedno tylko imię nie daje mi spokoju, wierząc we wnętrzościach krwawą dziurę, serce drąc na kawałki, a myśli zatruwając jadem czystego zła, do jakiego zdolna jest bestia zwana przez mędrców i chyba trochę na wyrost istotą myślącą.

Jaki szejtan sprawił, że pewnego dnia przywołana przede

mnå została sylwetka Cyryla przez kupca weneckiego nieświadomego zdarzeń czających się w przyszłości? Który z ifrytów włożył w usta Gustawa opowieść, gdzie początek znaleźć miało cierpienie nawet dziś, po latach od upiornych wydarzeń sprawiające, że tracę oddech i zdrowy rozsądek?

Cyryl. Wymawiając to imię myśli moje nabierają rozpędu wybiegając w przeszłość, do niewielkiego domu w anatolijskiej wsi, domu niemal już niewidocznego, zatartego przez czas, a jednak wciąż dla mnie widzialnego. Doświadczyłem tam największego szczęścia, aby później... Czerwone plamy przed oczami migoczą mi ze śmiertelną częstotliwością tworząc wizerunek tej, którą kochałem najbardziej. Po chwili przeistacza się on w jedną krwawą plamę. Zrywam się z ziemi i resztką sił próbuję wyrzucić imię, jakiego nie potrafię wypowiedzieć. Imię tej, której usta całowały moje oczy, sprawiając, że wilgotniały one zupełnie, jakbym płakał, bo po prawdzie płakałem, jednak szczęścia były to łzy, nie rozpacz. Dlatego krzyczę w zmaconą tysiącami odgłosów ciemność nocy, a krzyk mój sprawia, że milknie świat i z ciekawością nadstawia uszu, aby usłyszeć moją opowieść. Przepadają jednak rodzące się słowa bezpowrotnie wśród czerwonych plam przed oczami kradnącymi mi przytomność. Padam bez czucia na ziemię.

– Panie, panie – z głębokiej ciemności wyrywa mnie znany głos, jednak zbyt wielki lęk wywołany przeszłością szarpie moje serce. Dlatego wytrenowanym przez lata ruchem obnażam tkwiący za szarfą kindżał i gotów do zadania śmiertelnego ciosu

lokalizuję potencjalnego przeciwnika. To nie przeciwnik jednak, a brat, mój i przyjaciel, choć wedle prawa przede wszystkim niewolnik i sługa: garbaty Węgier Finta. Wpatruje się we mnie z troską spod wielkiego czerwonego turbanu bogato zdobionego szykownymi wzorami. Obok niego stoi hakim Kutay poważnie zaniepokojony stanem mojego zdrowia oraz opowieścią, jaką pisarz Besim ubarwiając pięknymi słowami spisuje z mojego polecenia dla tych, którzy będą chcieli się z nią zapoznać. I słyszę takie oto słowa:

– Tak mnie wystraszyłeś, panie – mówi Finta – że pozostawiłem wszystkie interesy, jakie załatwiałem w pobliżu i rzuciłem się, aby cię powstrzymać, gdyż w nieoczekiwanym ataku żalu, jaki złapał cię za serce, gotów byłeś zrobić wszystko. Wolałbym jednak, żebyś w takim stanie nie robił niczego, bo mogłoby się to źle dla ciebie skończyć, a z doświadczenia wiem, że to, co źle kończy się dla ciebie, fatalnie wpływa na przyszłość twojego niewolnika, jakim jestem. A zatem, musisz wiedzieć, panie, że kontroluję wszystko, co można kontrolować – zniża głos do szeptu – a nawet więcej. Wszystko to za sprawą Donny Serafiny oraz Giulia, którzy ślą ci pozdrowienia, licząc, że niebawem będą mogli się przed tobą pokłonić – sączy mi prosto do ucha – abyś przypomniał sobie, co przed laty im obiecałeś. Poza tym zdążyłem już otworzyć dwa karawanseraje oraz trzy zajazdy, których jesteś właścicielem, tak że twoje bogactwo niebawem będzie równie ogromne, co wielkiego wezyra, a może i nawet większe, choć lepiej, abyśmy nie mówili o tym zbyt głośno,

bowiem z doświadczenia wiem, że zawieść w sercach wysokich urzędników sułtana większa jest niż u innych ludzi.

– Fericie, Fericie – wartki prąd słów Finty tamuje rzeczowy głos hakima Kutaya. Wznosi medyk dłonie ku niebu, i szepcząc pierwsze wersy świętej księgi Koranu, beszta mnie i ruga, tak jak lekarz winien besztać i rugać krnąbrnego pacjenta nie stosującego się do fachowych zaleceń: dobrotliwie. – Mówiłem ci przecież, żebyś nie przywoływał mnie, kiedy przed oczami migotać ci będą czerwone plamy nie wróżące niczego dobrego, które musiałeś wywołać swoim gadaniem o tym, co było, podczas gdy wiadomo, że najważniejsze z woli Allaha jest to, co jest. A co jest? Ano to jest, że serce niemal nie wyskoczyło ci z ciała, gdyż do tego zmusiłeś je swoim paplaniem. Mnie zaś zmusiłeś do zaordynowania ci wywaru z maku, jednak nie martw się, gdyż dawka, jaką zastosowałem nie sprawi, że ujrzysz duchy, jakich tak bardzo się obawiasz...

Mówią z troską jeden przez drugiego bracia moi i przyjaciele, jednak nie zamierzam słuchać ich biadań i jęków. Czując rozchodzące się za sprawą lekarstwa ciepło, gestem dłoni nakazuję im, aby przestali jęczeć, jak baby i podejmuję przerwana opowieść ponownie łamiąc zalecenia hakima, który przyglądając mi się z troską zawiera mnie opiece Allaha Stwórcy Świata.



## Różdział pierwszy

*Edirne, wrzesień 1444*

Kiedy Murad w lipcu wyruszył do Anatolii rozprawić się z Ibrahimem Bejem, w Edirne wydarzyło się wiele złego, więcej nawet niż znieść mógł młody padyszach, zaledwie dwunastoletni Mehmed. Sprawował on rządy, jak rzekłem, przy pomocy wielkiego wezyra Halil Paszy oraz wezyra Zaganosa Paszy, pozostającego także lałą Władcy Wiernych. Nie zapominał także Mehmed o dobrych radach zasłużonego doradcy swojego ojca, eunucha Sehabeddina Paszy, który najczęściej stojąc w milczeniu z boku wydarzeń, większy miał ogłąd sytuacji i w strategicznej grze o wpływy toczącej się nieustannie w seraju sułtana, mógł mieć większe szanse niż ten, który otwarcie głosił określone idee. Skryty za aurą tajemnicy gruziński kastrat zawsze mógł gładko dopasować się nawet do warunków, których nie akceptował. W przeciwieństwie do ludzi otwarcie głoszących poglądy i obnoszących się zarówno z przyjaciółmi, jak i wrogami.

Zanim jednak opowiem, co wydarzyło się podczas burzliwych lat tysiąc czterysta czterdzieści cztery – tysiąc czterysta czterdzieści pięć, powiedzieć muszę, co poczuć może młody mężczyzna po ukończeniu szkoły paziów pałacowych wkraczający w oficerskim stopniu oda baszy do orty janczarów. Do ludzi, dla których braterstwo znaczyło więcej niż życie i śmierć,

gdyż bez niego nie było ni jednego, ni drugiej. Którzy dzieląc wspólnie pożywienie, łupy i wiarę w Jedyne Boga niczym święte bractwo derwiszów skoncentrowani, by nie rzec: oszalali byli na jednym. Z tą tylko różnicą, że poziom koncentracji derwiszów bardziej był metafizyczny, podczas gdy janczarzy myślami wybiegali na bitewne pola, gdyż tylko tam należyte ujście znaleźć mogła energia rozsadzająca ich podczas długich zimowych wieczorów, kiedy to jedynie bajania mających ku temu odpowiedni talent umilały wolno sączące się minuty. Ale czyż chwalebna śmierć męczennika sprawy islamu nie przynależy do świata metafizyki?

W jesienno-zimowych miesiącach wyłącznie w ćwiczeniach wojskowych mogli janczarzy wyładować nadmiar emocji, a im bardziej ostre były i wytężone, tym większy wysiłek wkładali w doskonalenie sztuki wojennej, gdyż tylko w ten sposób mogli pozbyć się obezwładniającej energii. Ćwiczyli z taką intensywnością, żeby zapomnieć o monotonii życia w koszarach, gdzie jeden dzień nie różnił się od drugiego, panowała surowa dyscyplina nieustannie umacniana sprawiedliwymi kijkami oficerów, a wizja kobiet męczyła ciało i ducha tak, że co bardziej wrażliwi chwaci bliscy byli postradania rozumu, co zdarzało mi się widzieć na własne oczy. Niektórzy z nich – działo się to jednak bardzo rzadko – przekraczali cienką linię oddzielającą zdrowego człowieka od szaleństwa i zostawali świętymi mężami, gdyż obłąd w islamie nie podlegał karze i leczony był w specjalnych domach przy pomocy łagodnej muzyki, choć na niewiele się



ona zdawała. Kto raz oszalał, nie potrafił już wrócić do świata, jaki pozostawił. Być może tym większy był jego zysk, gdyż świat ludzi normalnych bardziej przerażającym jest od najmocniejszego choćby obłądu.

Po wydarzeniach znojnego dnia, kiedym z Lamim mierzył się w łuczniczej biegłości oraz celności wyprowadzanych ciosów, obudziłem się obolały i wstając z maty zataczałem się jak nowo narodzone źrebię, do jakiego łatwo mnie można było przyrównać, bowiem wkraczałem w świat wcześniej znany mi tylko z widzenia i słyszenia. Złowrogo spoglądali na mnie szeregowi janczarzy, wiedząc kim jestem i kim w ich rozumieniu nigdy się nie stanę. A ja chciałem tylko być bratem tych, którzy braćmi byli dla mojego brata i przyjaciela, Akifa, pokój z nim, gdyż nic innego nie pragnęło moje młode serce.

– Przedstawił mi Hasan Pasza twoją sytuację, Fericie – rzekł do mnie przełożony, czorbaczy basza Ufuk, małomówny, jak niemal każdy starszy oficer, o twarzy nieprzejednanego anioła, znany z zamiłowania do surowej dyscypliny i wina, choć nie wiem czy w takiej kolejności. Wyniósł je z adżemi olan w Bursie, gdzie zdobywał stosowną wiedzę mającą pozwolić mu szablą, łukiem i kindżalem zaznaczyć wyższość islamu nad fałszywą religią chrześcijan. O Ufuku krążyła opowieść, jakoby z Bursy został przeniesiony na własną prośbę, a motywowana ona była wielkim pragnieniem, które w pewnym momencie doprowadziło do ruiny finansowej kilku kupców nie mogących doprosić się spłaty należności. Wpatrzony w ogorzałą najwyraźniej nie

od promieni słonecznych twarz czorbaczy baszy, uśmiechnąłem się mimowolnie na wspomnienie barwnej opowieści.

– Śmieszą cię moje słowa, Fericie, choć w istocie nie powiedziałem jeszcze nic śmiesznego – rozsierdził się oficer.

– W mojej głowie pojawiło się wspomnienie, czcigodny czorbaczy baszo, a jest ono miłe memu sercu – odparłem. – Dlatego też...

– Dlatego też, Fericie – wszedł mi w słowo oficer – zamknij wreszcie pysk i zacznij słuchać, bo mam ci do zakomunikowania rzeczy ważne, jeśli oczywiście chcesz pozostać w tej orcie, co wielu, a może i nawet większości bardzo jest nie na rękę.

Zamieniłem się w słuch.

– Z tego, co wiem, synu, miałeś niegdyś w tej orcie jednego wroga i jednego prawdziwego przyjaciela. Dziś nie masz już przyjaciół, a niemal każdy janczar patrzył będzie na ciebie wzrokiem węża i módl się tylko, aby część z nich prawdziwymi wężami się nie stała. W takim wypadku pożą cię jeszcze przed obiadem, czemu będę musiał się przyglądać, a interweniował będę dopiero wtedy, gdy zostaniesz już zeżarty, bo tak się właśnie sprawy mają. Jesteś już mężczyzną, Fericie i patrząc na twój obity pysk, potrafisz rozmawiać na wiele różnych sposobów...

– Jestem przecież oficerem...

– Taki z ciebie oficer – parsknął śmiechem Ufuk, a jego czerwona nie od słońca twarz poczerwieniała jeszcze bardziej – jak z Demicrana kobieciarz. Fakt, że sułtan nadał ci godność nie czyni z ciebie oficera formacji, przed którą drży cały cywilizo-

wany świat, gdyż o jego niecywilizowanej części niewiele potrafię jeszcze powiedzieć. Ale i to przyjdzie z czasem...

– Inszallah – dodałem gorliwie, by nie rzec: nadgorliwie.

Dalej opowiadał mi Ufuk, że to co widziały moje dziecięce oczy podglądając życie janczarów, mogę włożyć między bajki, gdyż widzieć, nie znaczy wiedzieć, o czym dobrze powinienem już wiedzieć. Najważniejsza jest jednak dyscyplina, ciągnął Ufuk, bez której janczarzy zamieniliby się we wściekłe, bezpańskie psy i kąsając jeden drugiego, zagryźliby się na śmierć. Pozbawieni dowódców są niczym pył pustynny, jaki wiatr roznosi siłą swej woli z miejsca na miejsce, nie troszcząc się o pojedyncze ziarna, nie rozmyślając nad strategią poczynań, ani nad konsekwencjami wyborów. Dlatego, jak psy niemiłe sercu każdego prawowiernego, trzymać ich należy na krótkiej smyczy surowej dyscypliny, gdyż to przede wszystkim ona czyni z nich niezwyciężone wojsko, jakie właśnie do Karamanu, gdzie zamierza udowodnić swoją wolę walki i bitność, o jakiej nie mam jeszcze pojęcia i tylko od Allaha Wszchemocnego i Niepokonanego zależy czy dane mi będzie zapoznać się z nimi bliżej, w co on, Ufuk, czorbaczy basza niespecjalnie wierzy.

– I przy okazji zebrać okazałe łupy oraz – podkreślił z zadowoleniem węża – dokonać także kilku innych czynności przewidzianych prawem wojennym, bez których życia janczara... – urwał, a na jego twarzy surowego anioła odmalował się błogi wyraz świadczący, że doskonale wie o czym mówi.

– Rozmówić się z kobietami, jak to tylko mężczyźni potrafią

– kiwnąłem ze zrozumieniem głową.

– Nie chciałbym jednak, aby sprawy, o jakich mężczyźni, do których grona mimo oficierskiego tytułu jeszcze się nie zaliczasz, lubią rozprawić najbardziej, przysłoniły ci wzrok i sprawiły, że sflaczejesz, jak pewna część ciała po wzmożonym wysiłku, o jakim niewielkie masz chyba jeszcze pojęcie. A teraz możesz odejść, Fericie, bo nie mogę już dłużej patrzeć na twój dumny pysk. I niech Allah ma cię w swojej opiece, bo naprawdę będziesz bardzo jej potrzebował.

Zanim rozpocząłem służbę, skierowany zostałem do kwatery pisarzy, gdzie w księgach miano oficjalnie odnotować moje istnienie w orcie. Na czele pisarzy stał Cakar, mrukliwy janczar niewielkiego wzrostu o ewidentnej skłonności do traktowania regulaminu wojskowego niemalże na równi ze świętą księgą Koranu, co oczywiście w oczach Jedynego Boga uchodzić musiało za grzech i w swoim czasie wydać musiało owoc srogich konsekwencji, o czym być może grzesznik nie wiedział. Nikt jednak nie ośmielał się zabronić mu z każdym upływającym dniem stawać się większym służbistą, co wielce mu odpowiadało, gdyż nie miał czasu na przyziemne dyskusje. Jego królestwem były księgi dokumentujące działalność orty, weryfikujące na bieżąco stan liczebny, majątek trwały i ruchomy, a także skrupulatnie podliczające fundusz emerytalny, nad którym Cakar sprawował osobistą pieczę. Niemało było to obowiązków na jednego człowieka, dlatego do pomocy miał czterech stałych pisarzy oraz dwunastu dodatkowych, których wyznaczał na czas wojennych

wypraw, gdzie majątek trwały i ruchomy zmieniał się niemalże z dnia na dzień, podobnie jak skład osobowy. A wszystko to musiało zostać utrwalone na piśmie i opatrzone wszelkimi niezbędnymi pieczęciami, jakich Cakar miał dziesiątki, jeśli nie setki i ponoć w tej kwestii nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. A wszystko to za sprawą jego brata Faisala, emerytowanego janczara, który po skończonej służbie osiedlił się w Edirne i otwierając warsztat grawerski nieustannie przekonywał Cakara, że szanowany pisarz powinien posiadać pieczęcie na każdą okazję, tak, aby zapisane przez niego słowa nabrały odpowiedniej wagi i wartości.

– A zatem tyś jest słynny z pobożności, Ferit, którego sam Władca Wiernych wyznaczył do osobistej straży – rzekł, kiedym stanął przed nim, a jego prawa dłoń uniosła się do góry i z całą siłą opadła na dół, aby wielka pieczęć mogła poświadczyć swoim autorytetem powagę dokumentu.

– Ja jestem – odrzekłem z dumą.

– Nie pytałem, stwierdzałem – odparł surowo pisarz. – Data i miejsce urodzenia? – zapytał patrząc w księgę.

– Siedemnasty wrzesień tysiąc czterysta dwudziestego piątego roku.

– Miejsce urodzenia?

– Kraków. Korona Polska.

– Imiona rodziców i godność sprawowania w Lechistanie?

– Ziemowit i Zbysława. Strażnik miejski i żona strażnika miejskiego.

– Oficer selekcjonujący podczas dewszirme?

- Nie wzięto mnie z branki, panie – odparłem.
- W takim razie oświeć mnie, skąd, jeśli nie z branki, bo-  
wiem wedle mojej wiedzy...
- Akif... – przerwałem mu.
- Oby Allah Poniżający i Wywyższający dał mu wieczne  
szczęście w Raju – tym razem on wszedł mi w słowo, wznosząc  
oczy ku niebu.
- Amen – dodałem i opowiedziałem pokrótce w jaki sposób  
znalazłem się w stolicy państwa Osmanów.
- Ukończona szkoła? – kontynuował Cakar.
- Enderun kolej.
- Poprzedni bezpośredni przełożony?
- Kapa aga Demicran.
- Języki obce?
- Greka, łacina, arabski, podstawy perskiego.
- Szkolenie wojskowe?
- Zaawansowane. W tym walka konno w stopniu... – zawa-  
hałem się.
- Nie zostałeś spahisem?
- Nie, panie.
- Więc nad czym się głowisz? Walka z grzbietu – zano-  
tował – podstawowa. Ale dość na tym – rzekł Cakar powstając.
- Z tego, co słyszę, warto wyjść na dziedziniec i zobaczyć, to  
w czym nie bierzemy udziału.
- Udałem się czym prędzej przed Bramę Sprawiedliwości,  
gdzie szejch al-islam Fachreddin miał przekazać Muradowi go-

towemu do wymarszu do Karamanu zielony sztandar Proroka, pokój z Nim, bez którego żadna armia nie mogła odnieść zwycięstwa zarówno w świecie cywilizowanym, jak i poza jego granicami. Z dumą na ten widok głowy podnosili wszyscy dostojnicy dywanu, tylko młody sułtan Mehmed przyglądał się uroczystości z ledwością kryjąc rozdrażnienie. Mimo iż od wczoraj był władcą rozkwitającego pięknie państwa, to nie on poprowadzić miał armię mającą przemówić do rozsądku Muradowego kuzyna, któremu zapomniało się, komu winien oddawać cześć, a kogo razić strzałami i kęsać ostrzami szabel wykonanych z damasceńskiej stali wytwarzanej ponoć przy pomocy czarów na jakich znali się wyłącznie nieliczni płatnerze.

Z wielką uwagą przyglądałem się młodemu Władcy Wiernych wystrojonemu tak szykownie, że czarno-szary strój Murada prezentował się na jego tle nadzwyczaj skromnie, a nawet ubogo. Ale taki właśnie był ustępujący sułtan: większą wagę przywiązywał do spraw duchowych i coraz częściej całe dni przepędzając wśród derwiszów, sprawy państwa zawierał swoim wezyrom, do których żywił bezgraniczne zaufanie, jeśli taki stosunek wobec wezyrów jest w ogóle możliwy. W chwili, gdy zielony sztandar Proroka, pokój z nim, wszedł w posiadanie Murada dając mu tym samym niezwyciężoną siłę, sułtan Mehmed szeptał coś do Zaganosa Paszy, mimo iż chwila była niestosowna. Nie zważał jednak chłopiec na etykietę i zakrywając usta konferował z pochylonym wezyrem, który znał go lepiej niż rodzony ojciec bardziej wyznający się na wersach świętego

pisma podyktowanego przez archanioła Dżibrila. Młody pady-szach zamilkł dopiero wtedy, gdy surowy wzrok ojcowski spo-czął na jego obliczu.

Przez chwilę myślałem nawet, że między ojcem, a synem panuje poważniejszy konflikt, kiedy jednak bliżej poznałem Mehmeda, zrozumiałem, że zarówno jego zachowanie, jak i większość nierzadko pochopnie podejmowanych decyzji była zasługą rozkapryśzonej i krnąbrnej dziecięcej natury, pod której wpływem młody sułtan miał pozostać jeszcze kilka lat.

Stojąc pośród janczarów i przyglądając się chłopcu wyniesio-nemu na tron Osmanów żalowałem go, tak jak przez pierwsze dni pobytu w szkole paziów pałacowych żalowałem siebie sa-mego. Murad dał mu tron, zabrał jednak dzieciństwo. Poda-rował powagę władzy, w zamian nakazał oddać śmiech i radość chłopięctwa. Rok starszy byłem od Mehmeda, kiedym zapo-mnieć musiał o tym, że dzieci w moim wieku najchętniej od-dają się figlom i psotom i zrozumieć, że kijki noszone są przez eunuchów nie jako ozdoba, lecz narzędzie kary, której dotkli-wość wielokrotnie poczułem na piętach, twarzy oraz wszystkich innych częściach ciała, choć wolałbym o tym nie pamiętać.

– Wielki dzień – usłyszałem głos Demicrana. Stał obok mnie, wzdychając ciężko z przesadnie eksponowanym wzrusze-niem, do jakiego miał pełne prawo: był przecież eunuchem, a jak wiadomo ci dziwni ludzie zachodzące wydarzenia przeży-wają bardziej jak kobiety, niż mężczyźni.

– Chwilami nie wierzyłem, że uda mi się wytrwać do dnia,



w którym usłyszę, że ukończyłem szkołę paziów pałacowych – odparłem, wspominając ścieżkę kariery przebytą w seraju Władcy Wiernych.

– Nie o twojej chwale mówię, Fericie – sprowadził mnie na ziemię biały eunuch. – Lecz o sułtanie Mehmedzie...

– Oby żył i panował wiecznie! – dodałem pospiesznie, rumieniąc się.

– ...który wreszcie stał się tym, kim miał się stać, choć z pewnością lepiej byłoby mu płatać psoty i beztrzesko zerkać, jak po niebie wędrują obłoki, bo nie masz dla dziecka lepszych zajęć.

– Poradzi sobie z pomocą Allaha – rzekłem z pewnością.

– A już na pewno Zaganosa Paszy, który nie pozwoli, aby chłopcu stała się krzywda, bo jest on od najmłodszych lat jego oczkiem w głowie – odparł spokojnie Demicran, mimo iż słowami swymi bluźnił Stwórcy Świata, przyrównując do niego wysokiego urzędnika w seraju, jakim Zaganos Pasza był bez wątpienia.

– Pomyślne wieści dla wrogów naszej sprawy: wiedzieć, że tron zajmuje dziecko, a ten, co na nim siedział wyrusza w daleki świat dochodzić sprawiedliwości – podzieliłem się z eunuchem dręczącą mnie wątpliwością.

– Część z nich chciałaby, żeby już nigdy nie wrócił, ale większość niewiernych wołałaby dalej widzieć w Muradzie sułtana, gdyż dał się on poznać, jako sułtan sprawiedliwy i łaskawy, choć na pewno nie dla wszystkich.

– Uważasz więc, że chłopiec na tronie osłabia naszą pozycję?

– Tak właśnie uważam, Fericie i wiele czasu upłynie, zanim zmienię zdanie. Do tej pory niech Jedyny Bóg ma nas w swojej opiece, gdyż dziecko, mimo iż nie przekonałem się o tym osobiście, to sprawca radości, ale także przywoływacz cierpienia i wyrzeczeń.

– Jak rzekłeś, panie – ukłoniłem się Demicranowi, który odszedł kołysząc na boki swoim wielkim ciałem poranionym przed laty w egipskiej Aleksandrii, gdzie żyją mistrzowie posługiwania się nożem i zadawania bólu, o jakim nie miałem pojęcia.

Zamyśliłem się nad tym, com usłyszał od zwierzchnika białych eunuchów, gdyż biła z nich mądrość i rozwaga, jak sądzę, obca na ogół kastratom. Dziecko na tronie zwiastować mogło kłopoty, nie tylko dlatego, że było dzieckiem, lecz dlatego, że zarówno wrogowie sprawy islamu, wrogowie wewnętrzni, jak i skonfliktowani ze sobą wezyrowie zdawali sobie sprawę z jego dzieciństwa oraz z tego, że bywa ona niczym glina w dłoniach rzeźbiarza potrafiącego wyczarować z niej dowolne kształty. I tak pierwszym rzeźbiarzem był z pewnością papież Eugeniusz IV wysługujący się przebywającym od lat na ziemi węgierskiej kardynałem Julianem Cesarinim, z pewnością zmyślnym, choć niezbyt rozsądnym architektem wyprawy krzyżowej młodego króla Polski Władysława. Drugimi zaś artystami zamierzającymi podjąć w dłonie glinę dzieciństwa sułtana Mehmeda byli wezyrowie Zaganos Pasza i Halil Pasza, nieznoszący się serdecznie i na swój widok mimowolnie sięgający po kindżały. Za dużo

tych rąk do gliny młodości, myślałem z trwogą, zwłaszcza teraz, kiedy armia Muradowa wyrusza do Anatolii wyjaśnić rodzinne nieporozumienia i pozwolić janczarom wziąć łupy i zniewolić kobiety, o jakich będą mogli opowiadać podczas ciągnących się w nieskończoność zimowych wieczorów. Co ma być z woli Allaha, będzie, pomyślałem, i nie moja w tym rzecz, aby się temu przeciwstawiać. Tym bardziej, że rozpierała mnie radość i duma, bowiem oto dzień po oficerskiej nominacji spoglądałem na mehteran, orkiestrę wojskową wyprowadzającą armię Murada na anatolijskie szlaki mające doprowadzić ją do Karamanu, gdzie zbuntowany Ibrahim Bej, kuzyn byłego sułtana sprawiał kłopoty, jakimi nie powinno się obciążać serc pozostałych członków rodziny. Wraz z rezerwą janczarów mającą strzec spokoju w Edirne, złorzeczyłem swojemu losowi i zazdroszczałem towarzysom broni wojennych przygód z niechęcią szykowałem się do powrotu do codziennych obowiązków, a było ich niemało.

Nie odchodziłem jednak, jak zaczarowany wpatrując się w barwny korowód opuszczający seraj. Walili zawzięcie w bębny bębniarze, wydobywali muzycy z fletów trzciniowych i piszczałek żwawe melodie. Kroczący za nimi janczarzy mający dołączyć do wojsk ekspedycyjnych gromadzących się od kilku dni pod murami miasta, z radością śpiewali pieśni bojowe, wierząc, że już niebawem za ich sprawą ziemia nasiąknie krwią wrogów, a bogate łupy w wielkiej ilości zasilą wszystkie ody, gdzie zostaną podzielone zgodnie ze świętą regułą starszeństwa.

Łzy wielkie jak groch, łzy wściekłości i żalu spływały po twa-

rzach garstki janczarów wyznaczonych do pilnowania porządku w mieście i dbania o bezpieczeństwo młodego sułtana, który niewiele jeszcze wiedział o życiu, a co dopiero o sprawowaniu rządów. Żegnali swoich braci wyruszających w pole życząc im sukcesów wojennych, bogactw do zgarnięcia i niewiast do zniewolenia.

– Jeden jest Bóg, ale też i jedna, wielka moja tragedia – łkał bezsilnie zwalisty mężczyzna stojący obok mnie, choć patrząc na niego nigdy nie przyznałbym, że przysposobiony jest on do tej czynności w jakiej niezwykle upodobanie znalazły sobie przede wszystkim kobiety.

– Przyznam szczerze, że ciężko mi dostrzec coś tragicznego w tak wspaniałej armii wyruszającej, aby przekonać bega Karamanu, aby stał się kimś, kim nie chciał być do tej pory.

Wielkolud uniósł sękatą łapę z zamiarem pacnięcia mnie przez łeb, jednak kiedy zreflektował się, że ma do czynienia z oficerem, cofnął zmieszany dłoń i wycierając kułakiem łzy, poprosił o wybaczenie. Tak oto poznałem Furkana, który mimo wieku, a liczył lat sześćdziesiąt, zapragnął jeszcze od życia intensywniejszych doznań, jakich dostarcza każda wojenna wyprawa.

– Wybaczcie, oda baszo, ale wczoraj gotowy byłem zrezygnować z janczarskiej emerytury, na jakiej przebywam od lat cztertnastu, przywdziałem stary żołnierski kaftan, wyciągnąłem z szafy piękne czerwone skórzane buty, nałożyłem kecze i porzucając kupieckie zajęcie zameldowałem się u agi Hasana Paszy. Wyrażając gotowość do służby dodałem, że moja

wartość bojowa nie zmalała, a żądza wojskowej sławy nawet wzrosła, choć trochę już jej zdobyłem walcząc to tu, to tam, o czym nie mogą pamiętać wszyscy ci, którzy znaleźli śmierć w ostrzu mojej wiernej szabli. Nie chciał jednak Hasan Pasza skorzystać z moich usług, twierdząc, że bez mojej siły poradzą sobie janczarzy w Karamanie, a jeśli przyjdzie dzień, kiedy czarne chmury zawisną nad Osmanami, on pierwszy zwróci się do mnie o pomoc, która zostanie sownie wynagrodzona, jeśli Allah pozwoli. W tym i na tamtym świecie.

Następnie Furkan zaczął wspominać chwile, kiedy z niewielkiej wioski leżącej na albańsko-greckiej granicy zabrany został do adżemi olan, szkoły janczarów w Bursie, skąd przeniesiony został do stolicy państwa Osmanów, Edirne, choć w tym czasie – a były to lata wojny domowej, jaka nastąpiła po śmierci sułtana Bajazyda w roku tysiąc czterysta trzecim – stolica przechodziła z rąk do rąk walczących o schedę po ojcu synów: Musy, Isy, Mehmeda i Sulejmana. Jak wiadomo z bratobójczej walki zwycięską ręką wyszedł Mehmed i zostając sułtanem pierwszym tego imienia rządził do chwili, kiedy nie przyszła ta, co odbiera wszystko. Z rozrzewnieniem opowiadał Furkan o bratobójczej walce, a wspominając ilość łupów, jakie zgarnął na wrogach Mehmeda podkręcał węża i bez żalu i wstydu wyznał, że wydał to wszystko na rozkosz z ładacznikami, do jakich miał wtedy specjalne upodobanie. Zwłaszcza do jednej, greckiej ulicznicy o imieniu Atenaida, której sztuka miłosna sięgała gwiazd, a opłaty, jakie należało wносить za zażycie z nią rozkoszy

o drżenie serca przyprawić mogły nawet urzędników dywanu, pokój z nimi.

– Raz nawet, mój przyjacielu, miałem taką ochotę na spotkanie z tą małą grecką zmiłą, że wyłamałem drzwi do jej pokoju, w którym, jak możesz się domyślać nie przebywała sama. Następnie po pysku sprąłem zażywającego z nią rozkoszy klienta i pod groźbą śmierci zakazałem mu się do niej zbliżać i siłą wziąłem Atenaidę, która choć kopiąc mnie, gryząc i wyzywając od najgorszych, pokazała mi to, co widzieć lubią mężowie...

Miło gawędziło mi się ze starym wojakiem, jednak spieszo było mi przywitać się z janczarami z mojej ody, a jako, że bałem się tej chwili bardziej niż przypuszczałem, wolałem jak najprędzej mieć ją za sobą. Kiedy stanąłem wreszcie, jako świeżo mianowany oficer przed dziesięcioma janczarami, nie wiedziałem, co rzec w czym nie pomagał mi hardy wzrok żołnierzy, jakim mnie mierzyli oraz wyzwiska, jakie musieli w duchu wypowiedzieć. Na szczęście wstąpił we mnie duch walki, przy którego pomocy skłamałem pierwszego z brzegu za idiotyczny grymas na twarzy, jaki od biedy nazwać można by było cieniem uśmiechu, dwóm usiłującym zaprotestować mojej surowej postawie w ramach kary nakazałem opróżnić latryny, a pozostałych zwyzywałem słowami, jakich nie powinno używać się w towarzystwie kobiet. Lżyłem ich oraz ich rodziny nie dlatego, że na to zasłużyli – przekleństwa cisnęły mi się na usta z lęku, jaki przed nimi odczuwałem, ze strachu, jakim napawać mnie zaczęła oficerska ranga, na mocy której w przyszłości miałem wydawać

komendy w godzinach najcięższej próby. Odniosłem jednak wrażenie, że wyzwiska i obietnice twardej służby ciskane w stojących w karnym szeregu janczarów przypadły im do gustu o wiele bardziej niż łagodne słowa mamiące wizją łagodnego współistnienia i wzajemnego poszanowania w oparciu o prawa Allahowe spisane w świętej księdze przez Proroka Mahometa, pokój z nim, za pośrednictwem Archanioła Dżibrila.

– Nie będzie między nami spraw boskich – zapewniłem surowo – bowiem, tu – splunąłem na dziedziniec, na którym hartowali od najmłodszych lat swoje ciała – obowiązywać nas będą ziemskie sprawy, a każdą z nich szczegółowo rozwiązać potrafi regulamin oraz trzcinowe kijki, których smak wasze pięty znają już doskonale.

Zaskoczeni ofensywną postawą podkomendni nie wiedzieli początkowo, jak ustosunkować się do werbalnego ataku dowódcy, jednak po chwili najwyraźniej uznali, że warto będzie przyjrzeć mi się bliżej, bo może nie jestem takim skończonym oferumą, za jakiego uważano każdego absolwenta szkoły paziów pałacowych. I tylko Lami zezował w moją stronę z wyraźną pogardą, którą w pierwszej chwili chciałem zerwać mu z pyska mocą oficerskiej rangi, jednak prędko zreflektowałem się, że najwyższa pora unieść się ponad dzielący nas konflikt i spróbować wypracować nikły choćby kształt porozumienia mogące pomóc nam w bezkolizyjnej służbie Władcy Wiernych, skoro on sam uznał, żeśmy godni tego zaszczytu.

Większość podkomendnych młodsza była ode mnie i po-

dobnie, jak ja dopiero co wcielona została do orty po ukończeniu szkoły. Znałem ich wszystkich z widzenia, a niektórych nawet potrafiłem nazwać po imieniu. Może dlatego poczułem się pewniej i klnąc dalej, jak przystało na oficera roztaczałem przed nimi wizję bitewnych pól, na jakie wyruszymy, jeśli pozwoli na to Allah Mocny i Zwycięzający oraz poziom ich sprawności bojowej, jaką z pewnością w tej chwili nie można by nawet podetrzeć sobie zadka, tak marnej jest bowiem jakości. Nie mówiłem im niczego nowego. Słyszeli takie, bądź podobne słowa wiele razy wcześniej. Wysłuchiwali ich codziennie, bowiem były one wpisane w mury seraju, stanowiły ich integralną część, bez której być może wszystko ległoby w gruzach. Dlatego i ja wrzeszczałem, łącząc żołnierzy słowami, jakich się spodziewali, gdyż dzięki nim mogli czuć, że są osoby, które sprawują pieczę nad ich ciałami i duszami; osoby gotowe w każdej chwili wymierzyć surowe kary, a także zaapelować o karę najwyższą, jaka nie była rzadkością zwłaszcza na ziemiach niewiernych, gdzie za każdy przejaw niesubordynacji janczar dawał gardło i nikt nad nim nie rozpaczał.

– Na początku drobne pytanie, oda baszo – zagaił jeden z janczarów o twarzy gołowąsa strojąc głupią minę. Nie tamując rzeki bluźnierstw wypływającej z mojego gardła, podszedłem do zabierającego głos bez pytania i korzystając z doświadczenia, jakie wyniosłem z wojskowego szkolenia w enderun kolej, zdzieliłem gadułę w pysk tak mocno, że zachwiał się na nogach i odnalazł spokój w posłuchu.

– A zatem, synowie owcy i eunuha, sprawy mają się tak, jak



rzekłem, a jeśli coś będzie się miało zmienić, powiadomię was o tym, choć gdy na was patrzę robi mi się niedobrze i dlatego nakazuję wam zacząć biegać wokół dziedzińca, abym nie musiał was oglądać stojących.

Poszeptali między sobą janczarzy, z pewnością ustalając czy rozkaz mój wykonać od razu czy grać na zwłokę, jednak kopniaki, jakie wymierzyłem kilku maruderom przekonały wszystkich, że należę do dowódców zadowolających się wyłącznie z szybkiego reagowania na wydawane komendy. Dlatego zlorzcząc potwornie i wyklinając synów enderun kolej zaczęli wypełniać moją wolę, a ja, aby nie pomyśleli, że nie słyszę i nie widzę ich niezadowolenia, biegłem za nimi, poganiając opornych solidnymi kopniakami, gdyż z własnego doświadczenia wiedziałem, że zapominając o nich nie zyskałbym wśród prostych żołnierzy szacunku, na jakim mi zależało. Nie tylko z racji oficcerskiej rangi. Janczarzy z którymi biegałem wokół dziedzińca stać się mieli na długi czas moją najbliższą rodziną, a z rodziną żyć trzeba w zgodzie, gdyż tak ten świat wymyślił Allah Wielki i Łaskawy. Nie wyobrażałem sobie, że nie znajdę wśród nich braterstwa i przyjaźni, gdyż bez nich los mój ciężki byłby do zniesienia, bowiem braterstwo i przyjaźń stanowi wszystko, co janczarzy posiadają najcenniejszego. Za wyjątkiem łupów zebranych na ziemiach niewiernych, jakimi zwykli się dzielić przy kotłach pamiętając o żelaznej regule starszeństwa w myśl której najwięcej przypadało najstarszym wysługą lat. I oczywiście tych kilku chwil, kiedy mogą zniewolić kobiety i rozmówić się z nimi tak, jak tylko to mężowie potrafią.

## Spis treści

Rõzdział piërwszy	15
Rõzdział drugi	54
Rõzdział trzeci	84
Rõzdział czwarty	124
Rõzdział piãty	157
Rõzdział szõsty	206
Rõzdział siõdmy	247
Rõzdział õsmy	278
Rõzdział dżiëwiãty	311
Rõzdział dżiësiãty	361
Rõzdział jëdënãsty	407
Rõzdział dwunãsty	445
Rõzdział trzynãsty	484
Rõzdział czlërnãsty	525
Rõzdział piël'nãsty	578
Rõzdział szësnãsty	607
Rõzdział siëdëmnãsty	642
Rõzdział õsiëmnãsty	678
Rõzdział dżiëwiël'nãsty	723
Rõzdział dwudżiësty	754

